

Etiopia – walka klas po afrykańsku

20 października 2016

Czy wprowadzenie stanu wyjątkowego przez Etiopię miało uratować wizytę niemieckiej kanclerz Angeli Merkel w Addis Abebie i wykazać, że kraj ten potrafi radzić sobie z niepokojami społecznymi i mimo nich pozostanie atrakcyjny dla zagranicznych inwestorów? Czy też może było po prostu odpowiedzią rządu nieskorego do dialogu z protestującymi?

Wielka jest siła stereotypów. Gdy w którymkolwiek z państw Afryki dochodzi do społecznego fermentu, zawsze jesteśmy skłonni poszukiwać klucza etnicznego, uważając naiwnie, że gdy go znajdziemy, istota problemu stanie się oczywista. Więcej nawet – nierzadko tak postrzegają sprawy sami Afrykanie, choć w ich przypadku jest to może bardziej zrozumiałe. Jeśli komuś dzieje się źle, jest skłonny poszukiwać przyczyn tej sytuacji w działaniach kogoś innego, obcego, a stąd w wieloetnicznym państwie – a takie są w większości przypadków państwa afrykańskie – już tylko krok do uznania, że winę ponoszą ci drudzy, którzy chcą skorzystać nierówno podzielić, odebrać, zmarginalizować. Tak też jest w przypadku protestów w Etiopii – niezadowoleni są głównie przedstawiciele ludności Oromo.

KORZENIE PROTESTU

Oromo mają dobre powody, aby być nieufni w stosunku do kogokolwiek, kto rządziłby Etiopią. Nauczyła ich tego historia, w której często okazywało się, że są obywatelami drugiej kategorii. Oromo twierdzą, że choć stanowią ok. 40 proc. ludności niemal stumilionowego kraju, władza i płynące z niej korzyści zdominowana jest przez stosunkowo nielicznych Tigrajczyków, których w Etiopii jest zaledwie nieco ponad 6 milionów. Oczywiście, można argumenty na rzecz tej tezy mnożyć, wskazywać, że Tigrajczyków zajmujących kluczowe

stanowiska w aparacie administracyjnym i służbach, ale nie wyjaśnia to wcale problemu. Przede wszystkim dlatego, że leży on zupełnie gdzie indziej, a to, że niezadowolenie i gniew ogarnia przede wszystkim Oromo, to rezultat okoliczności niezupełnie związanych z podziałami etnicznymi, tym bardziej, że – choć z mniejszym natężeniem – protesty zdarzają się nie tylko w Oromii, ale także w regionie Amhara, zamieszkałym przez drugą co do wielkości grupę etniczną – Amharów. To, że protesty są najbardziej intensywne w Oromii, a konkretnie w jej centralnej części, w której położona jest stolica, wynika jednak wcale nie z powodów etnicznych, ale z faktu, że w tej części kraju z największą intensywnością zachodzą procesy, będące ich źródłem.

Główny powód protestów, których kolejna fala rozpoczęła się w listopadzie ubiegłego roku, związany jest z prawem do ziemi. W listopadzie 2015 r. niepokoje były reakcją na zapowiedź rozszerzenia granic stolicy, co wzbudziło obawy, że zamieszkujący te tereny rolnicy stracą ziemię, a na ich polach ulokują się zagraniczne firmy. Choć w styczniu 2016 r. rząd wycofał się z tych planów, nie oznacza to, że sprawa została załatwiona. Przeciwnie – praktyka wywłaszczania rolników z terenów uprawnych i oddawanie ich zagranicznym inwestorom trwa w najlepsze.

ZIEMIA OBIECANA

W Etiopii cała ziemia należy w teorii do państwa – ci, którzy ją uprawiają lub korzystają z niej w inny sposób – są jedynie dzierżawcami. Sytuacja taka ma swoje zalety, jednak również ułatwia władzom wywłaszczenia, a rekompensaty płacone rolnikom za ziemię, którą nierzadko uprawiali od pokoleń, są w gruncie rzeczy symboliczne. W konsekwencji zostają pozbawieni ekonomicznych podstaw życia i spychani do kategorii bezrobotnego lumpenproletariatu. Ziemia zaś – zwłaszcza w okolicach dużych ośrodków, a zwłaszcza samej stolicy, jest dobrem atrakcyjnym, gdyż tam właśnie lokują się inwestujące w Etiopii zagraniczne firmy. Sami rolnicy – nawet gdyby chcieli

– swoich działek im nie sprzedadzą, bo jako dzierżawcy nie mają prawa do obrotu ziemią – na to monopol ma jedynie państwo.

Etiopia jest nadal jednym z najbiedniejszych krajów świata, jednak od kilku lat przeżywa ekonomiczny boom. PKB z roku na rok rośnie o ok. 10 proc., co jest wynikiem bardzo wysokim. Nominalny dochód narodowy na głowę mieszkańca od 2011 r. wzrósł niemal o połowę, ale z tego faktu – podobnie, jak z tego, że Addis Abeba jest jedyną metropolią w subsaharyjskiej Afryce posiadającą metro – dla stanowiących ponad 80 proc. ludności rolników niewiele dobrego wynika. Wręcz przeciwnie – nie tylko nie są beneficjentami rozwoju ekonomicznego realizowanego według recept Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego, ale płacą za niego wysoką cenę.

Oprócz taniej energii oraz zachęt w postaci ulg podatkowych, zagranicznych inwestorów przyciąga do Etiopii właśnie jej ubóstwo – kapitał ludzki, który można eksploatować za minimalne pieniądze. Rząd chwali się, że dzięki inwestycjom powstały tysiące miejsc pracy, ale jest to praca płaćna według takich stawek, za jakie gdzie indziej nikt nie zgodziłby się pracować. Aby jeszcze bardziej uzależniać od siebie pracowników, właściciele firm przenoszących produkcję do Etiopii nie chcą zatrudniać ludności miejscowej, żyjącej w okolicach, w których posadowili swoje zakłady, ale wolą zatrudniać migrantów z innych regionów, którzy pozostawili swoje korzenie daleko i nie mają oparcia w lokalnych społecznościach. To powoduje, że gniew Oromo, bo to na ich terenach powstaje najwięcej inwestycji, kieruje się nie tylko przeciwko władzom, ale także przeciw nowym zakładom przemysłowym i nowoczesnym farmom.

BRONIĆ JAK NIEPODLEGŁOŚCI?

Rząd na początku ustąpił – powiększenia terytorium stołecznego nie będzie. Zebrał wówczas za to pochwały, ale od tego czasu

żadnych ustępstw nie ma, a odpowiedzią na protesty jest brutalność policji, aresztowania opozycyjnych polityków i krytykujących władzę dziennikarzy i blogerów. Dialogu z opozycją nie ma, a dodać do tego trzeba, że opozycja jest, w gruncie rzeczy, pozbawiona możliwości choćby zgłoszenia formalnego sprzeciwu w instytucjach przedstawicielskich – ubiegłoroczne wybory zakończyły się bowiem wynikiem tyleż osobliwym, co budzącym wątpliwości, czy coś takiego w ogóle jest możliwe: w parlamencie nie zasiada ani jeden reprezentant partii innej niż rządząca koalicja EPRDF (Rewolucyjny Front Ludowo-Demokratyczny Etiopii) lub jej sprzymierzeńcy. Główna partia opozycyjna – Kongres Federalistyczny Oromo – może być największą organizacją polityczną w Etiopii, ale nie uzyskała w wyborach ani jednego mandatu, co wydaje się najmniej dziwne. Jest to zatem demokracja dość nominalna, ale inwestorom to nie przeszkadza, bo przecież nie po to lokują tu swoje pieniądze. Pokazuje to w oczywisty sposób, że jakoby nierozzerwalny, genetyczny związek kapitalizmu z demokracją, to mit. Tymczasem władza daje określone profity – na liście transparency International Etioipia zajmuje wprowadzie miejsce odległe od ostatniego, ale zdecydowanie plasuje się w dolnej jej połowie: w 2015 r. była na niej 103. (cała lista liczy 175 państw).

Wprowadzenie stanu wyjątkowego wpisuje się w logiczny ciąg reakcji etiopskiego rządu, która od stycznia sprowadza się do jednej konkluzji – nie ustępować, protesty tłumić, a przede wszystkim, nie dać się wciągnąć do dialogu, bo ten z pewnością dotknie spraw z punktu widzenia elity władzy zupełnie zasadniczych i może wymusić ustępstwa, które zniechęcą zagraniczny kapitał. Dlatego też rząd konsekwentnie ignoruje i skalę i znaczenie protestów, w których od początku roku zginęło – zgodnie z szacunkami Human Rights Watch – już ponad 500 osób. Dla rządzących wygodniej jest głosić, że nie są to żadne protesty ludności (jest przecież dobrze, wskaźniki rosną, czemuż więc mieliby protestować)?, tylko działania obcej agentury i terroryzm – słowo-klucz, które rozwiewa wszelkie wątpliwości, równocześnie uzasadniając zastosowanie

najbardziej drakońskich remediów w celu opanowania sytuacji. Takie było przesłanie wypowiedzi etiopskiego ministra informacji Getchawa Redy, który jasno wskazał, że rozruchy są sponsorowane z zagranicy, wskazując przy tym na Erytreę (dyżurnego wroga Etiopii od czasu, odkąd nie chciała być jej częścią) oraz na Egipt, z którym stosunki także nie są najlepsze, zwłaszcza że Kair obawia się, że budowane przez Etiopię tamy na Błękitnym Nilu (źródło owej taniej energii elektrycznej, przyciągającej zagranicznych inwestorów) spowodują katastrofę ekologiczną w dolnym biegu rzeki.

PERSPEKTYWY

Protesty w Etiopii nie ustają, a rząd ewidentnie liczy, że uda mu się złamać je siłą (jak już to czynił kilkakrotnie, na przykład w 2005 r. po wyborach uznanych za sfałszowane), jednak nawet, jeśli dopnie swego, nie rozwiąże to problemu, a co najwyżej oddali je, w konsekwencji powodując więcej ofiar. Trudno też liczyć na to, że protesty w przewidywalnym czasie skonsolidują się, póki co, nie wiążą się one bowiem z jakąś konkretną opcją polityczną. Nie można także w nich widzieć czegoś w rodzaju etiopskiej wersji „arabskiej wiosny” – jest to zupełnie inne społeczeństwo niż w krajach Północnej Afryki, protesty nie mają takiego zaplecza ani wsparcia z zewnątrz (rewelacje ministra informacji uznać należy za czystą retorykę, poza tym nie o takie zaplecze zagraniczne, jak domniemany spisek erytrejski idzie, bo też żadne liczące się siły na świecie nie są zainteresowane destabilizowaniem Etiopii, a wręcz przeciwnie – jest ona przez mocarstwa świata rozwiniętego uważana za ważnego sojusznika, szczególnie w kontekście jej zaangażowania w sąsiedniej, pogrążonej w chaosie Somalii) ani też nie mają tendencji do przeradzania się w zorganizowany ruch, pozostając acefalicznymi aktami sprzeciwu i próbami artykułowania gniewu. Nie oznacza to jednak, że taki stan będzie trwał niezmiennie.

Doświadczenia samej Etiopii pokazują, że zmiana jest możliwa. Kiedy zawaliły się kolejne, przynoszące katastrofalne skutki,

eksperymenty Dergu, gdy stracił zaplecze w postaci Związku Radzieckiego, opozycja potrafiła się zorganizować i przejąć władzę. Trudno oczekiwać, że w przewidywalnej przyszłości protektorzy obecnie rządzącej w Etiopii opcji politycznej podziela los Kraju Rad. Nie musi to być jednak warunek konieczny. Podobna w pewnym stopniu do Etiopii sytuacja miała miejsce w Mali przed przewrotem 2012 r. Wówczas ten rolniczy kraj także zaangażował się w reformy ekonomiczne, zmieniając radykalnie organizację uprawy i sprzedaży bawełny w myśl zaleceń MFW, co przyczyniło się do wzrostu gospodarczego, ale także wcale nie wprawiło miejscowej ludności w zachwyt, gdyż pozwoliło nielicznym wzbogacić się kosztem większości ludności dawniej zaangażowanej w uprawę i handel. Tam nawet niezadowolenie wywołane zmianami ekonomicznymi i stosunkami produkcji nie kanalizowało się w otwarty protest, ale pojawił się katalizator w postaci rewolty Tuaregów, w walce z którą rząd w Bamako ponosił jedną klęskę za drugą. W rezultacie, gdy doszło do przewrotu pod wodzą kapitana Amadou Sanogo, uzyskał on bardzo znaczne poparcie. Wzbudziło to poważne zaniepokojenie – żeby nie powiedzieć niesmak – afrykańskich przywódców, którzy udali się do Bamako, aby wyperswadować puczystom, że mają się poddać i przywrócić obalonego prezydenta Amadou Toumani Touré, a zamiast tego musieli zawrócić, gdyż pas startowy lotniska został zajęty przez tłumnie zgromadzonych zwolenników nowej władzy, nawet jeśli nie miała ona demokratycznego mandatu. To, co działo się w Mali później – zdominowanie tuareskiego powstania niepodległościowego przez islamistów, interwencja Francji i przywrócenie kompromisowego układu politycznego, to osobna historia.

Na przewidywanie podobnego rozwoju wydarzeń w Etiopii jest zbyt wcześnie. Zresztą, inne są uwarunkowania tak w samej Etiopii, jak i w jej regionie, aby spodziewać się powtórzenia takiego samego scenariusza, nie oznacza to jednak, żeby nie można było wyobrazić sobie możliwości zaistnienia takich, czy innych katalitycznych okoliczności – choćby w związku z

rozwojem sytuacji w Somali – które mogą przyczynić się do zachwiania stabilnością rządu w Addis Abebie, nawet jeśli nie ma on znaczącej opozycji w parlamencie. A może nawet właśnie dlatego – rządowi cieszącemu się pełnią niekontrolowanej władzy łatwo stać się tak sztywnym, że właśnie podatnym na złamanie. Tym bardziej, że opanowywanie protestów poprzez eskalację brutalnych działań i uciekanie od zrozumienia jego istoty pokazują, że prezydent Mulatu Teshome, premier Hajle Majam Desalegne i inni rządzący w Addis Abebie zapomnieli lekcję, jakiej powinien był nauczyć ich upadek poprzedniego reżimu.

Autorstwo: Grzegorz Waliński

Źródło: Strajk.eu